Rok III. Katowice, Niedziela, 21-go Sierpnia 1904 r. Nr. 33

Rodzina chrześciańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka“ i „Straży nad Odrą“.

Na Niedzielę XIII po Zielonych Świątkach

Ewangelia u św. Łukasza

w Rozdziale XVII.

Onego czasu: Gdy szedł Jezus do Jeruzalem, drzechodził środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli Mu drogę dziesięciu mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka. I podnieśli głos mówiąc; Jezusie, Nauczycielu, zmiłuj się nad nami! Których, gdy ujrzał, rzekł: Idźcie okażcie się Kapłanom. I stało się, gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich, gdy obaczył, że był uzdrowion: wrócił się, głosem wielkim chwaląc Boga: i padł na oblicze u nóg Jego, dziękując; a ten był Samarytanin. A Jezus odpowiedziawszy rzekł: Ażalisz nie dziesięciu jest oczyszczonych? A dziewięciu kędy jest? Nie jest naleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, tylko ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań! idź, bo wiara twoja ciebie uzdrowiła.

Święty Jacek,

wyznawca.

Święty Jacek był starszym bratem błogosławionego Czesława i urodził się w roku 1183 na zamku w Wielkim Kamieniu pod Strzelcami na Śląsku. W Rzymie przyjął habit zakonu dominikańskiego i przybywszy zaś do ojczyzny, żarliwie głosił słowo Boże nie tylko w Polsce, lecz także udał się na północ do Prusaków i innych narodów. Pod Wyszogradem przeszedł przez rzekę Wisłę przepełnioną wodą, włożywszy na nią swój płaszcz. W tym samym roku opowiadał słowo Boże na Litwie i w Rosyi, osobliwie w mieście Kijowie. Cztery lata odpoczywał w Krakowie w klasztorze dominikańskim, potem zaś się udał w podróż misyjną do Rosyi, do Prus i na Śląsk.

Gdy bawił w Kijowie, Tatarzy napadli miasto. Jacek odprawiwszy Mszą świętą, wziął do jednej ręki puszkę z najświętszym Sakramentem, do drugiej figurę alabastrową Najświętszej Panny Maryi i przeszedł nienaruszony przez hufce pogańskie.

Po tak mozolnych podróżach misyjnych powrócił do Krakowa, gdzie 15 Sierpnia 1257 ducha swego Bogu oddał. Ciało jego spoczywa w Krakowie w ślicznej kaplicy w kościele OO. Dominikanów.

Cudowna historya.

Wieś Szarzyńce leży nad Bugiem a u samego jej skraju nad rzeką, wznosi się chałupa Bartka Skóry. Miał on żonę i jedynego chłopaka, sześcioletniego Jędrusia, nad którym oboje rodzice rozpływali się, dogadzając mu we wszystkiem, bowiem reszta dzieci im pomarła, więc temu ostatniemu nie umieli niczego odmówić. Bywało, gdy się dzieciakowi czegoś zachciało, tak już nie było żadnej rady, tylko trzeba spełnić jego wolę.

Właśnie i teraz, Jędrusiowi, zachciało się jechać z ojcem na jarmark do miasteczka, leżącego po drugiej stronie Bugu. Było to już pod wiosnę, a że w tym roku nastały wczesne odwilże, więc lód na rzece nie był zbyt pewnym. Szczególniej ostatniej nocy mieszkańcy wybrzeży słyszeli trzask i huk pękających ludów. Ale Bartek miał pilny interes, trzeba bowiem było sprzedać krowę, bo w domu, jak to zwyczajnie na wiosnę, nie stało już mąki ani kaszy, ani też paszy dla bydlęcia — a jeść trza każdemu. Wymościł tedy sanie, zaprzągł w parę koni gniadych i przywiązał z tyłu krowę.

— Może byś nie brał z sobą chłopaka? rzecze Bartkowa do męża.

Ale Jędruś zakrzyczał natychmiast:

— Ja chcę do miasta z tatulem, ja chcę do miasta!

Cóż było począć? Chłop podrapał się w głowę i rzekł:

— Niech-ta jedzie, kiedy mu się tak zachciało.

Posadził tedy na wóz Jędrusia ubranego w długi kożuszek i buciki, dał mu w rękę biczysko, by się chłopcu zdawało, że powozi — i ruszyli.

Skoro Bartek przyjechał nad rzekę, w miejscu gdzie zwykle zjeżdżano na lód, dostrzegł odrazu, że ten był mocno spękany: miejscami widniały głębokie szczeliny, a od czasu do czasu rozlegał się trzask przeciągły. Ale Bartek mówił sobie:

— Nic-to, do wieczora jakoś wytrzyma!

Nad Bugiem wisiała mgła gęsta, biała, przez którą zaledwie słabo przeglądały zarysy drzew rosnących na przeciwnym wybrzeżu.

Cisza leżała wielka nad całą okolicą; każdy odgłos tonął w zwojach mgły. Bartek przejechał około kępy, leżącej na środku Bugu i dostał się wreszcie szczęśliwie na brzeg przeciwny.

Sprzedaż krowy zabrała mu wiele czasu, potem zajechał do karczmy, aby ogrzać kieliszkiem wódki i czemś pożywić małego Jędrusia, który zmarzł, sie-

dząc na saniach. Wieczór już był, skoro się wybrał z powrotem. Powietrze ku wieczorowi znacznie się ociepliło, zaczął deszcz padać, a wiatr powiał z południa.

Źle! pomyślał Bartek, Czy aby tylko rzeka nie puściła?

Mgła już teraz ustąpiła zupełnie, mimo to ciemno było bardzo; czarne chmury zawisły nizko nad ziemią i tylko dostrzedz się dawały kępy jałowców albo też karłowate, rozczochrane wierzby, rosnące na brzegu. Z tych wierzb zrywały się co chwila stada wron i machając ciężko zmokłemi skrzydłami, krakały niemiło, wróżąc śnieg na jutro. Bartek stanąwszy na brzegu, spojrzał i zaczął nasłuchiwać. Ale żadeń plusk niedoszedł do jego ucha, rzeka spała widocznie.

— Ano, co ma być, to będzie!

Przeżegnał się, polecił Bogu siebie i dziecko i zaciął konie. Woda zachlupotała pod kopytami, ale lód się trzymał. Naprzeciwko widniała kępa, porosła drzewami, w dali majaczył brzeg drugi.

Nagle konie stanęły, zestrachały się i poczęły chrapać; w tejże chwili rozległ się huk potężny i na dwa kroki przed saniami lód załamał się zupełnie, Bartkowi wszystkie włosy stanęły dębem na głowie: ściągnął konie i chciał zwrócić do lądu, aż tu czuje, że lód się pod nim porusza i oddala się niby od brzegu.

— Święty Boże, a toż co takiego? Ujrzał, że ma drogę odciętą.

Konie stały nieporuszone, osłupiałe z trwogi. Jędruś się zbudził, nierozumiejąc nic, począł pytać:

— Tatulu, a daleko jeszcze do domu?

— Oj, daleko!

Ciemność stawała się coraz grubszą; już przeciwnego brzegu zupełnie nie widać, tylko sterczą jeszcze czarne zarysy drzew na kępie.

— Dostać się na kępę! przemknęło Bartkowi przez głowę.

Ale jak? Chłop zauważył, że kra, na której się znajdowali, właśnie w tym kierunku pędziła, ale mogła się rozbić zanim dopłyną.

— Gdybym tak miał żerdź jaką, pomyślał, mógłbym nią sobie pomagać! Ale, — mam przecież dyszel od sani.

Prędko odciął konie i dyszlem począł odtrącać nadpływające kry, które groziły zagładą ich lodowej tratwie. Znał dobrze koryto rzeki i wiedział, że w tem miejscu prąd się rozgałęzia, trzeba więc tak skierować, by kra przybiła ku piaszczytej ławie, znajdującej się na końcu kępy.

Wiatr szumiał i zawodził ponuru, a Bartkowi się zdawało, że to on nad nimi tak jęczy. Wreszcie drzewa zamajaczały bliżej, — przybijali do kępy. Bartek obejrzał się na dziecko, siedzące na saniach; dygotało zębami jak we febrze ze strachu i ze zimna. Chłop wziął je na ręce i czekał... Kra się przybliża... oto chwila nadeszła. Bartek z chłopcem skoczył w wodę, zanurzył się w niej, wypłynął i stanął na kępie. W tejże chwili kra, uniesiona prądem, uderzyła się gwałtownie o jakiś pień, sterczący nad wodą... Bartek usłyszał tylko w ciemności coś niby krzyk czy rżenie rozpaczliwe tonących koni i plusk wody, która się zakotłowała w tem miejscu, a potem wszystko ucichło.

Tymczasem w Szurzyńcach, skoro noc nadeszła a Bartek nie wracał, powstał niepokój ogólny. Bartkowa wyszła na brzeg rzeki i stanęła z oczami wlepionemi w ciemny widnokrąg, czekając powrotu męża. Gromadka gospodarzy zebrala się niedaleko, gwarzęc półgłosem. Bartkowa usłyszała jak jeden z nich mówił:

— Głupi by był, gdyby jechał teraz — patrzcie ot tam, woda już idzie środkiem — ani myśleć o przejeździe.

— A jeżeli on wcześniej się puścił się na lód?

— Tedy przepadł nie ma dla niego ratunku zawyrokował najstarszy z gospodarzy.

— O, la Boga, zawołała Bartkowa, usłyszawszy to. Jędruś mój utonął. Jezus, Marya, ratujaie ich ratujcie mego robaczka!

— Czekajcie, czekajcie, zawołał jeden z parobków, tam się coś czerni kole kępy, pewnikiem oni.

Wszyscy zwrócili oczy w tamtą stronę, ale nic już dojrzeć nie mogli.

— Gdzie zaś, to chyba pniak jaki woda poniosła, ozwał się Walenty, sąsiad Bartka, z którym się wiecznie kłócił i nielubiał go. Jeśli Bartek był tak głupi, że się puścił bez lód, to już napewno utonął, nie ma co myśleć o ratowaniu.

I tak stali, sprzeczając się i medytując, a Bartek tymczasem wydobywał ostatka sił, żeby krzykiem dać znać ludziom o sobie. Obok niego na ziemi leżał Jędruś, blady i skostniały; serce zaledwie w nim kołatało.

Bartek porwał dziecko na ręce, począł je rozgrzewać, rozcierać, lecz Jędruś nie przychodził do siebie. A tu dokoła noc głucha, wicher szumi, w pobliżu zaś rozlega się trzask uderzających o siebie lodów, które gromadziły się i piętrzyły w ciasnym przesmyku pomiędzy kępą a wybrzeżem; w ciemnościach bielały ich niewyraźne kształty, podobne do cieni czy potworów, ujadających i gryzących się z sobą. Czasem znów wiatr zcichał, a wtedy slychać było złowrogi plusk wody, która zdawała się pocichu podkradać do stóp Bartka.

W owej to chwili w duszy powstała mu myśl rozpaczna, że oni obaj tu zginą a nikt we wsi nie domyśli się nawet, że jeszcze żyją. A jednak wieś znajdowała się tak blizko, że głos powinien był dolecieć. Nagle z piersi jego wyrwał się wielki krzyk w którym odbiła się cała rozpacz a zarazem cała nadzieja, którą miał jeszcze w głębi serca.

Ratunku! wołał. My żyjemy!

— A słowo to »żyjemy«, padło w łono ciemności, wichru i plusku fal, niby ptak trzepoczący się wśród burzliwej nocy.

Jędruś zwisał wciąż na ręku Bartka, bezwładny i zimny. Całe odziene, które ten miał na sobie, było przemokło i nie mógł dziecka okryć niczem. I cóż on pocznie teraz nieszczęśliwy?

— Chwycił się za głowę, począł drzyć włosy z rozpaczy i ryknął jak szalony:

— Ratunku! dziecko mi umiera, — ratunku!

A w koło niego kry uderzały łoskotem o siebie i wicher szumiar złowieszczo.

Bartek padł wtedy na kolana i począł modlić się, wzniósłszy oczy w niebo:

— Panie, Boże miłosierdzia! Panienko święta, Panienko cudowna, wejrzej na nas! Wszak-ci to dziecko niewinne umiera! Cóż ono zgrzeszyło, robaczek nieszczęsny! Niechaj jego przynajmniej śmierć ominie!

Oszalały, bezprzytomny rzucił się twarzą do ziemi i leżał tak sam nie wiedział jak długo, — zdawało mu się, że gdzieś zapada pod ziemią, aż wreszcie ogarnął go niby jakiś sen czy odrętwienie, aż oto ujrzał wielką jasność, która olśniła jego oczy tak, że z początku nie mógł patrzeć; wreszcie spojrzał, a nad nim stoi sama Najświętsza Panienka i patrzy na niego z łagodnym uśmiechem. A jasność

owa co jej od czoła bije, pada aż na rzekę, kładzie się na fale wzburzone i gniewne i uśmierzać się zdaje ich gwałtowność. Ptaki, śpiące na gałęziach wierzb, myśląc widocznie, że to słońce wschodzi, zerwały się i poczęły krążyć czarną masą w powietrzu. Wówczas chłop porwał się z ziemi i ukląkł przed niebieskiem widzeniem, a ono mu rzecze:

— Bartek, chociaż grzeszny człek z ciebie, ale iżeś mię szczerze wzywał, tedy przyszłam ci na ratunek, bo mi twego robaczka żal.

Tu pochyliła się nad leżącym Jędrusiem i pocałowała go w czoło, a chłopakowi rozjaśniła się twarzyczka, począł oddychać, jak gdyby nań spłynął sen łagodny i słotki a nawet uśmiech ukazał się na ustach.

— I przyszłam ja do ciebie, rzecze dalej Najświętsza Panna, aby ci powiedzieć: źle się brałeś do ratowania siebie i dziecka. Wy, ludzie, chcecie żeby wam Pan Bóg dopomagał a sami sobie pomagać nie umiecie. Więc ci się zdaje, że dość ci siedzieć na piasku wybrzeża i wołać ratunku wyciągnąwszy ręce, aby moce niebieskie zeszły do ciebie i wydobyły ze strasznej toni? A ja ci powiadam, że tego nie dość...

— A cóż mam robić, Najświętsza Panienko? pyta chłop z pokorą.

— A ot co, — nazbieraj dużo suchych gałęzi i rozpal wielki ogień, aby ludzie we wsi widzieli, że tu jesteś i żyjesz. Dokąd tego nie uczynisz, nikt się nie dowie o tem, bo wicher i burza głos twój zagłuszy. Pamiętaj o tem, że sam musisz sobie pomagać, aby Bóg ci dopomógł.

To rzekłszy, Najświętsza Panna schyliła się i białemi rękami poczęła zbierać i znosić chrust do rozpalenia ogniska. Ujrzawszy to, anieli niebiescy zlecieli się całemi rojami by pomagać swej Królowej Chłop zdumiony patrzy i widzi jak jeden aniołek z białemi skrzydłami dźwiga całą wiązkę drzewa a drugi wlecze za sobą suchą gałęź wierzbową. Jak zaczęli się uwijać, tak w mgnieniu oka był stos gotowy. A wówczas Najświętsza Panna zapytuje Bartka:

A masz ty krzesiwo?

Bartek poszukał i znalazł w zanadrzu krzesiwo i hubkę, na szczęście jeszcze niezamokłą.

— Skrzesaj ognia, mówi mu Najświętsza Panna.

Skrzesał, — iskry posypały się na gałęzie, — aniołkowie poczęli je rozżarzać, machając skrzydłami, i obsiedli ognisko, niby rój białych motyli na wiosnę. Aż buchnął płomień wysoko da nieba, a Najświętsza Panna uśmiechnęła się na jego widok i rzekła do Bartka:

Teraz będzie wam jasno i ciepło, bo płomienia tego ani wicher ani deszcz nie zaleje, a taka siła jego cudowna, że im więcej go rozdzielisz pomiędzy ludzi, tem mocniej gorzeć będzie.

Po tych słowach, Najświętsza Panna wionęła jak obłoczek po nad fale wzburzone i wzniosła się ku niebu, a za nią pospieszyli słudzy jej aniołkowie, tak zupełnie jak stadto gołębi, które w górę się wznoszą. Jeszcze chwilkę igrał jasny blask na wodzie, podobny jutrzence, jeszcze chwilkę powiewały białe skrzydła aniołów po nad głową ich Królowej i wszystko znikło.

Jednocześnie Bartek ocknął się ze snu długiego, przeciera oczy, patrzy, on leży na piasku, a tuż niedaleko płonie wesoły ogień, przy nim siedzi Jędruś, grzeje ziębłe rączyny i pyta.

— Tatulu, czy to wy rozpaliliście taki śliczny ogień?

Bartek niewiedział co ma odpowiedzieć, bo niewiedział kto rozpalił ów ogień; może on sam to uczynił, nie pamiętając o tem nawet; nie umiał sobie tego wytłomaczyć. A tymczasem Jędruś dalej szczebiocze:

— Tatusiu, mnie się śniło, że przyszła taka śliczna pani, która miała koronę z gwiazd na czole, pochyliła się nademną, pocałowała w głowę i rzekła: Wstań dziecko, teraz będziesz miał przyczem się ogrzać, bo ja rozpaliłam ogień. Niedługo potem obudziłem się i widzę, że ogień naprawdę się pali. A jak ładnie świeci!

Rzeczywiście ogień świecił bardzo jasno i nawet ludzie w Szarzyńcach spostrzegli go i domyślili się, że Bartek jest na kępie; o świtaniu do kępy przybiło czołno by zabrać rozbitków. Ale Bartek nie chciał jechać, nie zabrawszy z sobą trochę żaru z cudownego ogniska, a skoro go przywiózł do chałupy, zaraz jakoś w niej zaczęło być jaśniej i lepiej, o czem dowiedziawszy się sąsiedzi, zchodzili się do niego ze wszech stron, by im udzielił owego ognia, a on dawał chętnie, opowiadając zarazem wszystkim o swej dziwnej przygodzie.

Z kraju tysiąca jezior.

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi.)

Skreślił Stanisław Bełza.)

ROZDZIAŁ IV.

Jeziora Sajma. — Z Willmanstrandu do Nisslotu. — Punka Harju — Kuopio, — serce Finlandyi. — Na szczycie Puijo. Przed pomnikiem Snellmana.

(Ciąg dalszy.)

I na mapie i w naturze, Sajma daje oku patrzącego dziwny, niespotykany nigdzie w Europie obraz.

Wszystkie jeziora znane nam z geografii, kształtami swemi przypominają dwie figury, koło albo też elipsę, wszystkie jakie są, do tych dwóch figur ostatecznie sprowadzone być mogą. Od prawidłowych kształtów tych figur odstępują z nich niektóre, co prawda, z geometryczną regularnością, niektóre z nich rozbrat biorą, wszystkie one przecież, są otwartemi basenami wodnemi, dłuższemi po największej części niż szerokiemi, ale zawsze przecież o ścianach rozstępujących się znacznie, dozwalających znajdującemu się na ich powierzchni, lub nad ich brzegami, ogarniać okiem szerokie wodne przestrzenie. Inaczej rzecz się ma z Sajmą.

Na szczegółowej mapie wygląda to jezioro jak sieć olbrzymia, z poprzecinanemi w niezliczonych miejscach sznurkami, a w naturze, jeśli do czego przedstamia podobieństwo, to nigdy do jeziora, definicye geograficzne którego, znajdują się w naszej pamięci.

Już w Lauritsala, gdy się opuści kanału linię, uderza to każdego, uderza więcej, gdy po zwiedzeniu Willmanstrandu, niewielkiej fińskiej mieściny, będącej pierwszym postojem dla bark i statków parowych, stanie się nad brzegami wody.

Widzi się wtedy nie jezioro otwarte i szerokie odbijające w sobie obraz nieba, ale smugi wodne, ciągnące się fantazyjnie w różne strony, tu szerokie, tam znowu jak górski ruczaj długie a wązkie, zasiane w całej swojej długości wyspami.

Miejscami, smugi te wcinają się głębiej w ziemię i jednocześnie ściśniają, kiedy więc stoisz i przyglądasz się im uważnie, to ciekawość cię naturalna przejmuje, jak też tam z ich labiryntu wydostać się potrafi statek parowy, na szerszą wodę, i szersze, niż tu powietrze.

Willmanstrand nie leży na nizinie, przeciwnie, leśny pagórek służy mu za podstawę, gdy zatem podniesiesz się do góry i z wyższego nieco punktu wzrok w stronę jeziora zwrócisz, to ciekawość, jaka cię przejmowała na dole, odnośnie do możliwości prawidłowej w takich warunkach nawigacyi, podniesie się do wysokiej potęgi. I zapragniesz już wtedy gorąco, aby odpoczywająca w porcie jeziora »Konkordya« ruszyła jak najprędzej na północ, by nieprawdopodobne stało się dla ciebie prawdziwem, byś śladem innych, którzy tę tajamniczą drogę przed tobą odbywali, przemknął po świecie dziwnym, po którym nie mknąłeś jeszcze nigdy, po którym prócz jednej Finlandyi, nigdy nikt nie mknie.

Ale »Konkordyi« wcale się nie spieszy. Wysypała żywy swój balast na brzeg, i snać zmęczona mozolną podróżą po kanale, zdala od miasta odpoczywa. Z tych kilku godzin przeznaczonych jej na wypoczynek postanawiam skorzystać jak najlepiej, i usadowiwszy się w małej jednokonnej bryczce każę się obwozić po mieście.

Willmanstrand ma charakter osady na wskroś fińskiej. Widzi się to na każdym kroku.

Przedewszystkiem, nie jest to właściwie miasto, ale coś pośredniego pomiędzy miastem a wsią. Drewnianych jednopiętrowych dworków więcej tu daleko, niż domów wysokich i murowanych, nie trzymają się one gromady, ale rozrzucone są bezładnie. Przy bardzo wielu, dostrzegam małe ogródki, prawie wszystkie, odgrodzone są baryerami od siebie, — jednem słowem, ogólny wygląd raczej sielski, niż miejski. Ale ta wieś, jest wsią bardzo porządną, posiada ulice brukowane, wiele sklepów o szyldach z napisami przeważnie fińskiemi, wreszcie parę skromnych hoteli.

Niewielki, lecz sympatyczny kościółek i pałac Wielkiego Księcia Finlandyi, będący właściwie bardzo prymitywnym dworkiem, dopełniają całości. Jest to całość miła, spokojna, jak w sam raz stworzona na to, aby na wstępie do świata fińskiego, darzyła cię fińskiemi wrażeniami.

Nie lepszy, ani gorszy od miast innych, i Willmannstrand ma las dokoła. Widzisz to, gdy podpływasz ku niemu, czujesz, gdy się na jego ulicach znajdziesz. Dolatuje cię wtedy silny zapach sosnowego boru, który pokrzepiająco oddziaływa. Instynktownie też, po objechaniu miasta, każesz się wieźć do niego, zwłaszcza też, gdy się dowiadujesz, że w najbliższej jego części obozuje wojsko fińskie.

Powierzchowne zwiedzenie Willmanstrandu i przyległego obozowiska zajmuje parę godzin. Siedziałbyś co prawda w tym lesie dłużej, chociażby tylko dla lepszego przejrzenia się mustrze żołnierzy, z jakimi nie spotyka się po za granicami Finlandyi, ale lękarz się, byś się na »Konkordyę« nie spóźnił. Jest jeszcze 20 minut do jej odjazdu, jak raz czas niezbędny do spuszczenia się z góry na dół, na migi więc, gdyż twój woźnica jedynie po fińsku rozumie, każesz się wieźć do przystani, i za chwilę jesteś na pokładzie.

Podróż po jeziorze sajmańskim przedstawia tę osobliwość, że miasta i wsie nadbrzeżne znikają płynącemu z przed oczów, z szybkością nie spotykaną gdzieindziej. Wynika to ztąd, że jak się powiedziało już wyżej, jezioro to do żadnego na świecie niepodobne, ściśle biorąc, otwartem jeziorem nie jest, ale zbiorowiskiem mnóstwa jezior, wąziutkiemi przesmykami wodnemi połączonych z sobą. Na domiar dobrego czy złego, na każdem z tych lilipucich jeziorek znajduje się mnóstwo skalistych kęp, które także do rozjaśnienia perspektywy bynajmniej się nie przyczyniają. Otóż zaledwie upłyniesz tu staj kilka, już to, co znajdowało się po za tobą, zakryte zostaje doszczętnie, i żadne szkła nie byłyby dość silne, aby ci przedmiot raz widziany, powtórnie przed oczy sprowadzić. Nie ścigają cię tu — prawda, — jak gdzieindziej, krajobrazy, z jakiemi zabrałeś przelotną znajomość, — nie naprzykrzą ci się one zbytecznie, ale i nie wyryją tak w pamięci jak te, jakie na jeziorach innych, długo, długo po odpłynięciu od nich, dają ci swój obraz w ciągłem zmniejszeniu, póki nareszcie, niby duchy w mgle coraz gęstszej się nie rozpłyną.

I z Willmanstrandem jest zupełnie to samo, i kto chce amfiteatralne położenie tego miasta obserwować z jeziora, ten wiele czasu poświęcić na to nie może. Tuż, tuż pod miastem, znajduje się grupa wysp, dalej wcina się w wodę długi, choć wązki półwysep, a jeszcze dalej rozpościera się szeroko zadrzewiona figura, ani do wyspy, ani do półwyspu nie podobna. Dziwacznością konturów swoich, figura ta ciągnie ku sobie oczy, niejednemu mózgowi przedstawia się jak prawdziwa zagadka, ale co dla nas w tej chwili jest najważniejszem, zasłania tak dalece sobą Willmandstrand, że gdy kołujący pomiędzy czarnemi ciemnemi punktami na powierzchni jeziora statek parowy, zrówna się z nią w całej długości swojej, już po za tobą Willmanstrandu ani śladu. I widzisz tylko gładką taflę przezroczystej wody, z której tu i owdzie wyskakują grupy większych i mniejszych skał, a dokoła siebie czarny, głęboki bór, ciągnący się daleko gdzieś na tajemniczą północ.

Ale niech nikt nie sądzi przecież, aby obrazy, jakie ma się tu przed oczyma, raziły jednostajnością, aby zaciekawienie, budząc w tobie z początku, w końcu darzyły cię znużeniem. Jako żywo! Na innych jeziorach, pod innem niebem, być może, że byłoby tak, tu jednak jest zupełnie inaczej, dzięki temu właśnie, że wody tego kraju do wód żadnych nigdzie nie są podobne. Gdy więc Sajma co krok nieledwie inną przybiera pystać, raz wązkiej rzeki, to znowu międzymorza, wreszcie zatoki o niezliczonej ilości wysp, gdy co więcej długich linii ziemnych, jak gdyby w chowanego gra z lądem stałym, — przeto darzy wciąż podróżnego taką rozmaitością krajobrazów, jakich darmo byś szukał na jezior lombardzkich jasnych wodach. I dlatego podróż po Sajmie budzi zaciekawienie większe, mając tu bowiem zakrytym dalszy widnokrąg, nie jesteś pewnym, co cię co chwila czeka, nie schodzisz więc z pokładu statku, ale usadowiwszy się raz na jego przodzie śledzisz bacznie za tem, co ci się przed wzrokiem roztacza. I godziny schodą ci tak w milczeniu, i coraz nowe jedne od drugich dziksze światy skupiają na sobie uwagę twoją, i w niemym podziwie mkniesz ich środkiem, przyznając w duchu, że do światów tych, żadne ze znanych ci z widzenia lub opisów, przyrównanemi być nie mogą. Żadne, — kto o tem wątpi, ten niech odbędzie podróż tem jeziorem z Willmanstrandu do Nisslot i Kuopio, a przekona się, że w słowach naszych przesady ani odrobiny nie ma.

Kapitan »Konkordyi«, młody Finn z pochodzenia, jak wszyscy marynarze w tym kraju, władający wybornie językiem angielskim, w języku tym opowiada nam, że podróż statkiem po Sajmie, należy do tru-

dniejszych podróży wodnych. Wierzę temu, zwłaszcza też, gdy staję tuż przy sterniku i przyglądam się jego manewrom kołem sterowem. I myślę sobie, że jeżeli kto, to ten człowiek nie je chleba za darmo, oczy jego bowiem i ręce są tu w bezustannej pracy i ruchu. Wyminął wyspę, co mu niepotrzebnie w drogę weszła, aliści skała jeży mu się pod wodą, pozostawił skałę po za sobą, okrążać musi wsunięty w jezioro długi klin ziemny, co mu na złość miejsce jej zastępuje. A tu bieli się pod borem długa ławica piasku, tam ciągnie taki wąziutki pas wody, że boki statku niemal o ląd zawadzają, ówdzie wreszcie gęsty z granitu archipelag, baryeruje mu przejście. Słowem istny labirynt z wody, ziemi, lasu i skał złożony, w którym cudowną nitką Aryadny, jest tylko doświadczenie jego i ostrożność. Coby się jednak stało ze statkiem parowym i z nami na tym statku, gdyby ta nitka nie dopisała mu kiedy?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z tajemniczej krainy.

Dziwne, a jednak prawdziwe: istnieje kraina, której Europejczycy prawie wcale nie znają, a w niej ludna stolica, gdzie podobno nigdy jeszcze nie stanęła stopa białego zaborcy. Przed dwoma laty Swen Hedin chciał zbadać tajemnice owej krainy i rzeczywiście zdołał się do niej dostać, ale podróż jego była pasmem krwawych doświadczeń, a powrót nieledwie cudem. Tajemniczy ów kraj — to Tybet ze stolicą Lhassą. Ku końcowi roku ubiegłego Anglicy urządzili wyprawę wojenną do Tybetu, ażeby jego mieszkańców przekonać naocznie, że prawdziwymi panami Azyi są tylko synowie wielkiego Albionu. Wyprawa angielska stanęła już pod bramami świętego miasta Dalaj Lamy, to jest Lhassy i tam nastąpi albo stanowcza walka, albo zawarcie pokoju.



Dalaj Lama.

Dla mieszkańców Tybetu wtargnięcie wojska angielskiego do ich kraju, a zwłaszcza rozbicie obozu pod Lhassą, jest wypadkiem historycznym ogromnej doniosłości. Wszak oni z prawdziwą zaciętością bronili wstępu do swej ziemi każdemu obcemu, to jest białemu przybyszowi, uważając wprost za świętokradztwo, gdyby oczy Europejczyka padły na mury świętej stolicy Lhassy. Bardzo mało też wiemy i o Tybecie i o Lhassie, polegając tylko na szczegółach, które podali tak zwani »pundyci«, indyjscy urzędnicy wymiaru, których rząd angielski wysyłał w rozmaitych czasach do Tybetu i którzy mogli tam wędrować bez przeszkód ze strony tubylczej ludności.

Najznakomitszy z tych »pundytów«, nazwiskiem Maj Sing, bawił w Stolicy Dalaj Lamy dwukrotnie, to jest w r. 1866 i w r. 1875; drugi, znany tylko pod literami »A. K.«, przebywał tam przez kilkanaście miesięcy w roku 1879 i 1880. Wedle ich opisu szeroka płaszczyzna górska, na której leży Lhassa, wznosi się na 3680 metrów nad poziomem morza. Otoczona zewsząd wysokiemi górami, otwarta jest tylko na południowy zachód, skąd przychodzą ciepłe prądy powietrza, łagodzące zimną temperaturę.

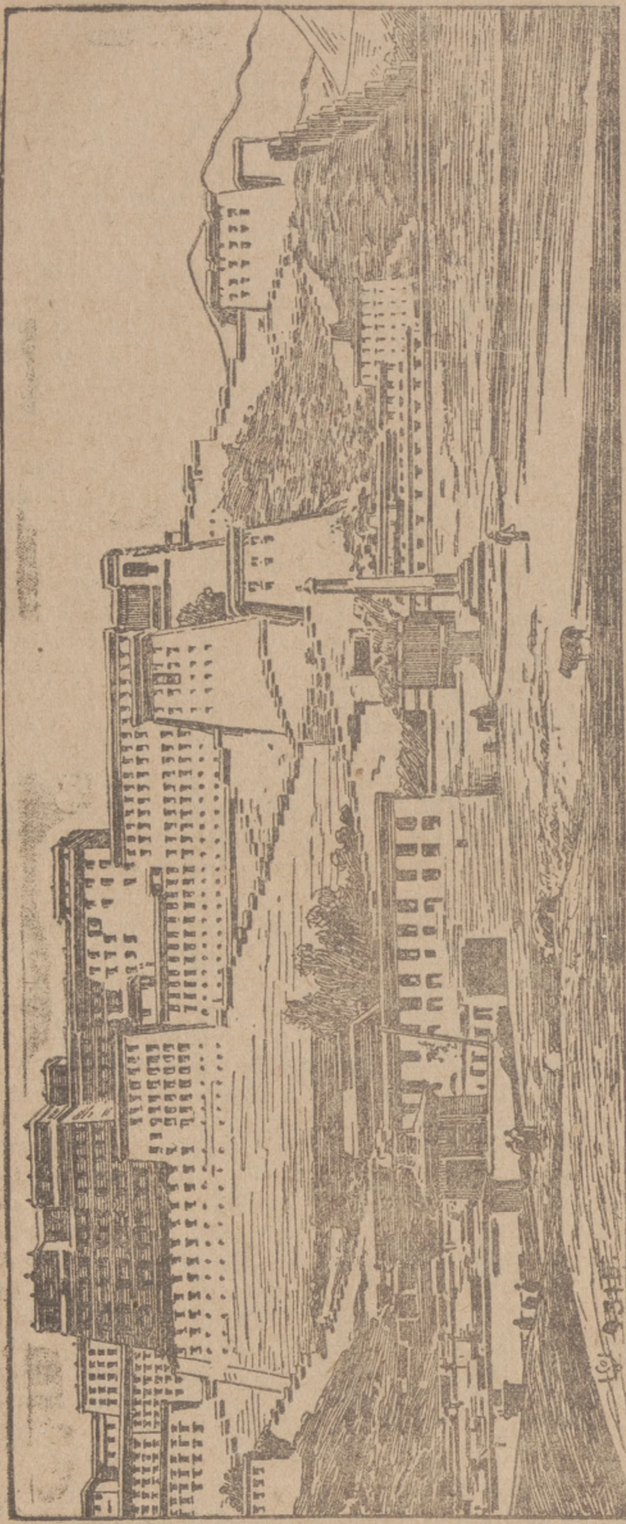
Ludność Lhassy obliczają na 15,000 głów, prócz 18,000 bonzów, którzy posiadają tam mnóstwo klasztorów. Jest to stała ludność Lhassy, gdzie prócz tego znajdują się ciągle ogromne rzesze pielgrzymów z najodleglejszych zakątków Azyi. Jak Mahometanie ciągną do Mekki, tak wyznawcy Buddy pielgrzymują do Lhassy, ażeby na świętych wzgórzach Potala, właściwej siedzibie Dalaj Lamy, otrzymać jego błogosławieństwo. Kapłanów rozmaitego stopnia jest w Lhassie tylu, że na pierwszy rzut oka wydaje się, jakoby tam nie było wcale świeckiej ludności. Pielgrzymi posiadają w Lhassie wedle swej narodowości osobne gospody, zazwyczaj duże budynki, przedzielone wąskiemi uliczkami, będącemi stekiem brudu.



Tongsa Penlop,
główny pośrednik pomiędzy Anglikami a Tybetańczykami.

Religijny ruch wyznawców Buddy ma swoje ognisko na wzgórzach Potale pod złoconemi kopułami tamtejszych świątyń. Te wzgórza, trzema wyniosłościami wspinające się ku niebu, znajdują się o kwadrans drogi od samej Lhassy. Wieńczy je ogromny krąg świątyń, wieżyc, pawilonów, a w samym środku znajduje się klasztor, służący za przybytek następcom Buddy. W klasztorze owym ma być 10.000 pokojów, które napełnione są darami, skła-

nemi Dalaj Lamie od wieków przez połowę Azyi. Dalaj Lama, kapłan mórz i świata, jest wedle wiary buddystów wcieleniem bóstwa. Ogromne wrażenie wywołuje, wstrząsa sercami wiernych, gdy dusza Dalaj Lamy opuści zasłonę cielesną. Głuchym od-



Lhassa z pałacem Dalaj Lamy, stolica Tybetu.

głosem odzywają się w świątyniach bębny, trąby i dzwony, w nieustannym ruchu znajdują się wszystkie kołowrotki modlitewne. Cały Tybet i Chiny i stepy Zabajkalskie są poruszone. Wszędzie wznosi się dym z ołtarzy ofiarnych, a tysiące jagniąt giną pod nożem. Ale niebawem smutek zamienia się w radość owszechną. Utrzymuje się wiara, że Dalaj Lama rzed śmiercią pozostawia po sobie następcę pomię-zy niemowlętami, a bonzowie wykonują to szybko. Rodzice dziecięcia, które stało się Dalaj Lamą, zestniczą do pewnego stopnia w jego szczęściu.

Ojciec otrzymuje najwyższy stopień szlachectwa chińskiego i otrzymuje na mieszkanie jeden z pałaców w pobliżu wzgórz Potale. Matka ma i nadal opiekować się dzieckiem w jednym z klasztorów dalszych, święte bowiem wzgórza są dla niej na zawsze



Mieszkańcy Tybetu.

niedostępne. Gdy dziecko dojdzie do lat 4, bonzowie ubierają je w szaty mnisze i wśród uroczystych obrzędów sadzają na tronie Dalaj Lamy. Po objęciu tronu malec przechodzi do klasztoru Namgya jako nowicyusz i pozostaje tam do ósmego roku życia. Wtedy otrzymuje godność przełożonego klasztoru i staje się istotną głową kościoła buddystycznego, Dalaj Lamą.

Jako władca świecki Dalaj Lama do 18 roku życia jest małoletnim i rządy za niego sprawuje regencya. Zazwyczaj nie dochodzi do objęcia władzy,

bonzowie bowiem obawiają się, że gdyby energiczny Dalaj Lama ujął na czas dłuższy świecką władzę w swoje ręce, mógłby stać się dyspotycznym władcą Tybetu. Bonzowie umieją zawczasu tak sprawami kierować, że Dalaj Lama umiera w kwiecie młodości.

Jeden z »pundytów« indyjskich widział przedostatniego Dalaj Lamę i tak go opisuje: »Wśród wielkiej uroczystości na złoconym tronie ujrzałem ośmioletnię pacholę. Na głowie miało mitrę żółtą, a z ramion spadał mu szeroki płaszcz żółty. Z pod płaszcza wysunął drobne rączki, ażeby pobłogosławić lud. Po tej ceremonii częstowano nas ryżem i herbatą, a Dalaj Lama ledwie się ich dotknął. Następnie odśpiewał Dalaj Lama pieśń pobożną, a kapłan najstarszy przemówił do niego, padając po trzykroć przed tronem na kolana«.

O życiu ludności tybetańskiej podaje zajmujące szczegóły Cybikow, rosyjski podróżnik, który w przebraniu kapłana buryackiego przebywał w Lhassie przez cały rok. Lhassa — powiada Cybikow — jest miastem kobiet, gdyż prawie $^2/_3$ części jej właściwej ludności stanowią kobiety, a w całym zresztą Tybecie mają one liczebną przewagę nad mężczyznami z tego powodu, że mnóstwo kapłanów żyje w celibacie. Kobiety tybetańskie w życiu towarzyskiem i stosunkach ekonomicznych cieszą się wielką niezawisłością. Wielożeństwo jest obustronne: kilku braci ma często jednę żonę, a kilka sióstr jednego męża, i takie życie rodzinne uchodzi w Tybecie za idealne. Z powodu liczebnej przewagi kobiet nad mężczyznami, mogącymi zawierać związki małżeńskie, o wiele częściej zdarza się, że siostry mają wspólnego męża. W handlu i przemyśle kobiety występują samodzielnie i kierują nieraz wielkiemi przedsiębiorstwami.

Przechadzka po polach.

Kilka uwag o głównych wadach w gospodarstwach włościańskich

napisał **Jerzy Turnau.**

Wśród łanów dojrzewającego zboża, kołysanego wiatrem niby fale jeziora, wśród pól, na których kwitną ziemniaki i błyszczą się ciemno-zielone, bujne liście buraków, — miłą jest przechadzka gospodarza. Ale rozumny gospodarz powinien nietylko cieszyć się z tego, co z łaski Bożej na jego zagonie wyrosło i dojrzewa, powinien on także badać i zastanawiać się, porównywać i dokładnie oglądać, aby z tego jakiś pożytek dla swej wiadomości i nauki wyciągnąć. Powinien porównywać zboża i okopowizny, pod które zastosował sposoby różne nawożenia i uprawy, badać wygląd i spodziewaną wydatność różnych odmian zbóż i roślin pastewnych, aby na przyszłość wiedzieć, co mu zapewni najlepszy plon i dochód.

Porównajmy pola włościańskie z sąsiedniemi polami dworskiemi — oczywiście nie z takiemi, które są w ręku starozakonnego dzierżawcy — ale polami wzorowo i starannie uprawnemi. Spostrzeżemy wtedy wiele rzeczy, które nas pouczyć winny, spostrzeżemy, że przeważnie, z małemi wyjątkami, urodzaje na polach włościańskich przedstawiają się gorzej, niż na polach dworskich. Wprawdzie po części słusznym jest zarzut, że włościanie, nie posiadając ani tak poprawnych pługów, ani inwentarza o odpowiedniej im sile, ani wielu doskonałych a kosztownych narzędzi, nie mogą tak uprawić i obsiać swych pól, jak więksi właściciele. Ale z drugiej strony mniejszy właściciel sam własnemi rękami wraz z swoją rodziną tę rolę uprawia, sam każdej roboty pilnuje, wszystko dzieje się pod jego okiem, a przecież przysłowie mówi, że »pańskie oko konia tuczy«; włościanin mając nie wielki obszar, może rolę wtedy uprawiać, kiedy rola najlepiej do uprawy się nadaje tj. w stanie ani zbyt wilgotnym, ani zbyt suchym, podczas gdy więksi właściciele przy wielkich obszarach nieraz albo z robotami i zasiewami się spóźniają, albo zmuszeni są roboty w niezupełnie odpowiednim stanie roli wykonywać. Najemnik nigdy na obszarze dworskim tak starannie roboty nie wykona, jak gospodarz na swojem polu — a więc i urodzaj na polach włościańskich w każdym razie nie powinien ustępować urodzajom na większych obszarach. Zastanówmy się nad przyczynami, dlaczego tak nie jest.

Jeżeli rzucimy okiem na pola włościańskie w porównaniu do dworskich, to przedewszystkiem uderzy nas to, że te ostatnie mają przeważnie równą, płaską powierzchnię, podczas gdy pola mniejszych właścicieli pokarbowane są w »zagony« i zagonki. Uprawa zagonowa, o ile da się jeszcze od biedy usprawiedliwić w niskich, mokrych położeniach, o tyle na polach suchszych lub pagórkowatych niema najmniejszej racyi. Jeżeli zapytamy gospodarza, który ma pola w suchem, pagórkowatem położeniu, dlaczego uprawia swą rolę w wąskie zagony, to przeważnie jako odpowiedź usłyszymy, że jego ojciec tak robił i dziad tak robił, to przecież musiało być dobrze. Prawda, że nie wszystko, co nowe, jest dobre, ale nie odrzucajmy znowu wszelkich nowości, li tylko dlatego, że »nowe«, jeżeli nam zdrowy rozsądek i doświadczenie innych wykaże, że ta nowość nam jest pożyteczną. Bo gdyby wszystko stare było dobre, to musielibyśwy za przykładem naszych prapraojców mieszkać w jaskiniach, okrywać się skórami dzikich zwierząt, a rolę przeorywać drewnianemi sochami!

Wieleż to szkody, jaki ubytek w plonach przynoszą nam wąskie, okrągłe zagony! Jeżeli zima obfita w śniegi, to ci bracie w bruździe wygnije żyto; jeżeli zima ostra, jeżeli mroźne wichry zwieją śnieg z zagonów, to na składach (szczytach) zboże wymarznie, i albo wcale go niema, albo jest tam rzadkie, dające możność rozrośnięcia się paskudnym chwastom, które zanieczyszczają ci swojem nasieniem całe pole. Jeżeli rok mokry, to w bruzdach zboże żółknie i marnieje; jeżeli posucha, to na wierzchu zagonu owies czy jęczmień taki cienki, taki marny, że aż żal popatrzeć. Na zagonach zboże nierówno wschodzi i nierówno dojrzewa; na południowym lub południowo zachodnim stoku prędzej, na północnym i północno-wschodnim później, a przecież nie zawsze można kierunek zagonów prowadzić z południa na północ. Niejeden włościanin, choć widzi i uznaje niekorzyści, wynikające z uprawy zagonowej, to jednak od niej nie ustępuje z tego powodu, że podobno łatwiej i prędzej można zorać rolę w zagony, że łatwiej i dogodniej jest siać zboże na zagonach, niż na równem polu. Choćby tak było — czy warto nam, czy godzi się dla naszej wygody i dla zmniejszenia sobie trudu narażać się na nieurodzaj i niedostatek? Czy nie jest grzechem zezwalać, aby święta ziemia rodziła chwasty i poślad, gdy Bóg nam ją na wyżywienie siebie i bliźnich przeznaczył? A więc precz z zagonami na pagórkach i suchych polach!

Powiedzieliśmy wyżej, że zagony w niskich, mokrych położeniach dadzą się usprawiedliwić; ale

dodaliśmy słowo »od biedy«. Tak, bo i tutaj nie zupełnie odpowiadają swemu celowi. Zagony w mokrych miejscach mają mieć niby ten cel, aby rolę osuszyć. Choć mi w bruździe wygnije — powiada posiadacz mokrego pola — to zato na składzie coś się urodzi. Jest w tem pewna racya, ale każda rzecz jest tak długo dobra, dopóki nie znajdzie się lepsza. Bruzdy zagonów zwykle nie odprowadzają wody, lecz ją owszem często zatrzymują. Bruzdy zagonów idąc w jednym, stałym kierunku nie zawsze idą w kierunku spadku pola, lecz owszem często go przecinają. Dlatego bruzdy te nie osuszają pola, lecz woda, która w nich nieraz długo na wiosnę lub po deszczach się świeci, podsiąka pod całe pola i zakwasza je. Na osuszenie pól są inne, lepsze sposoby. O drenowaniu wspomnę tu tylko mimochodem, bo jestto słowo, które każdego mniejszego gospodarza przestrasza. To droga rzecz, mnie na to nie stać — mówi każdy. A jednak zastanów się bracie nad tem, ile to nieraz robisz niepotrzebnych wydatków na kosztowne chrzciny, swaty i wesela — i czy raczej nie opłaciłoby się lepiej te pieniądze użyć na naprawę swego gruntu? Zastanów się nad tem gospodarzu oszczędny, który uzbierałeś trochę grosza i dokupujesz więcej gruntu, czy nie lepiej opłaciłoby ci się dokupić go mniej, a za to ten, który masz, poprawić przez osuszenie; zastanów się nad tem i ty, który sprzedajesz swój grunt i dobytek, aby szukać szczęścia w obwodzie przemysłowym, czy nie lepiej by było sprzedać tylko jakąś małą część — skoro już inaczej być nie może — a za uzyskane pieniądze zdrenować swe mokre pole, które potem w dwójnasób rodzić będzie?

Ale jest znacznie tańszy, choć nie tak skuteczny sposób osuszania pola. Zamiast orać w zagony, spróbójmy takie niskie, wilgotne pole uprawić na płasko, zaś po dokonaniu zasiewu zrobić głęboko idącym pługiem w dość bliskich odstępach i biegnące w kierunku spadku pola przeory czyli przewodnice. Te przeory należy porządnie wyczyścić łopatą, rozrzucając ziemię na rolę, oraz w stosownych miejscach należycie pogłębić, dla uzyskania spadku. Przeory albo każdy z osobna wpuszcza się do przydrożnego lub polowego rowu, albo też łączy się je wszystkie jedną poprzeczną, głębszą przewodnicą, z której za pomocą stosownej foski spuszcza się wodę do rowu. Jeżeli takiego rowu w bliskości niema, to trzeba go wykopać. Takie przewodnice, jeżeli są umiejętnie wykonane — a nie potrzeba na to ani wielkiej mądrości, ani osobnej nauki — lepiej nam osuszą pole przy płaskiej uprawie, niż bruzdy przy uprawie zagonowej.

W zbożach włościańskich widzimy zwykle znacznie więcej chwastów, niż w zbożach porządnie prowadzonych gospodarstw dworskich. Chwasty te zieleniąc się wspólnie ze zbożem, nie wpadają zrazu w oko — dopiero gdy zboże zaczyna dojrzewać, wystrzelają pomiędzy kłosy, świadcząc wymownie o niedbalstwie gospodarza: tu w pszenicy i życie czerwienią się płomieniście, ku uciesze miejskich paniczów i paniątek, dzikie maki, z pomiędzy kłosów wyglądają kąkole i bławaty; tam znów w owsie i jęczmieniu istna jajecznica, żółto, aż w oczy razi pszonak i ognicha; tam wreszcie wcale ani kłosów ani źdźbeł nie widzisz, bo dzika wyczka splotła zboże swemi rozgałęzionemi ramionami, przygniotła je do ziemi i buja sobie wesoło, chwiejąc fioletowym kwiatem. O, gdyby twe żyto miało mowę, gdyby przyduszone i gnębione przez wyczkę, mogło ci robić głośne wyrzuty, opieszały rolniku, oj, miałbyś ty za swoje!

(Dokończenie nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 30-go: Pół-ka.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Jan Kupiec z Łąki, Paweł Doleżych z Orzegowa, Teodor Dłubis z Bytomia, Edmund Wąsik z Bobrku, Stefan Rybarek, Ryszard Bodynek i Jan Kamiński z Świętochłowic, Jadwiga Badura z Rozdzienia, Edward Halotta z Burowca, Józef Gollasz z Bismarkhuty, Karol Kołodziejczyk z Szarleja.

Rozwiązanie szarady z nr. 31-go: Powód.

Dobre rozwiązanie nadesłał nam pan Jan Kupiec z Łąki wierszem:

Do wód należy tu włoska rzeka,
Po jej nazwisko. A zaś człowieka,
Który z sąsiadem wchodzi w zatargi
I jemu potem wytacza skargi,
Zowią zazwyczaj ludzie powodem.
Ten zaś, choć nieraz przymiera głodem,
Jednak do sądu talary niesie,
Bo mu przecie zawsze zdaje się,
Że jego powód do skargi prawy,
Choć nieraz krzywe są jego sprawy.

Nagroda przypadła p. Edwardowi Halocie z Burowca i p. Janowi Kupcowi w Łące.

Łamigłówka sylabowa.

Za—a—o—kra—ty—pa—wier—mi—a—men—cie—tów—ro—ski—e—ja—ir—lwów—za—nes—dom tarz—mo—stro—zą—wrzos—ka—szew—ra—le—moj drja—e—dek—lja—za—o—kuck—zi—lę—lja—ski—cki—ckie.

Z powyższych sylab ułożyć piętnaście wyrazów, których pierwsze litery utworzą imię i nazwisko znakomitej pisarki polskiej.

Znaczenie wyrazów:

1) Imię żeńskie, 2) Miasto w Galicyi, 3) Miasto na Syberyi, 4) Osada fabryczna, 5) Morze w Europie, 6) Miasto powiatowe, 7) Miasto gubernialne, 8) Kanclerz za Stefana Batorego, 9) Pierwsza książka, 10) Roślina lekarska, 11) Ptak, 12) Nazwisko powieściopisarza, 13) Miasto w gubernii łomżyńskiej, 14) Roślina leśna, 15) kwiat doniczkowy.

Za dobre rozwiązanie przeznaczona jest nagroda.

Nakładem i czcionkami »Górnoślązaka«, spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością w Katowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Antoni Wolski w Katowicach.